

DOM cz. VII

DANUTA

Danuta Szulik (z domu Mielniczyn) urodziła się w Samborze, mieście niedaleko Lwowa. Stamtąd pochodziła jej rodzina. Babcia ze strony matki, Hania, wcześniej straciła rodziców i trafiła do pracy na dwór szlachecki. Przywiązywała dużą wagę do tego, co tam widziała - obserwowała manery, kulturę i styl życia dworzan, a także sama nauczyła się czytać i pisać. „Babcia napatrzyła się na tym dworze, jak żyją ludzie. Miała swoje ambicje i postanowiła, że wykształci jedno dziecko. No i tak się stało, choć kosztem całej rodziny, bo panowała bieda - jeden z jej synów zdał maturę” - opowiada. Dziadek, Szczepan Zajackowski, był galicyjskim chłopem, który wychowywał się jako sierota.

Gdy Hanna i Szczepan się pobrali, pewien gospodarz dał im małą chałupę w Samborze oraz ciele. Osiedlili się na swoim. Były to czasy ogromnej śmiertelności wśród najmłodszych - babci Hani zmarło aż ośmioro dzieci. Dorosłości dożyła tylko trójka: dwóch synów oraz córka, która później

została matką pani Danuty. „Opowiadała mi, że miała pięcioletniego brata, który zachorował na szkarlatynę czy koklusz. Po prostu nie było pieniędzy ani możliwości, żeby go leczyć. Mama pamiętała z dzieciństwa, jak ten jej brat płakał... Niestety umarł, bo nie było ich stać na lekarza”.

Matka pani Danuty, Genowefa, ukończyła szkołę podstawową i wyszła za mąż za Leona Mielniczyna. Leon został więziony na Sybir dwa miesiące przed narodzinami córki. Danuta nigdy nie dowiedziała się, z jakiego powodu ojca deportowano. Nigdy go nie spotkała.

Rodzina wyjechała z Sambora w 1946 roku. Najpierw wyjechał jeden z braci matki, Kazimierz. W Samborze pracował jako leśnik i dobrze wiedział, co dzieje się we wschodnich lasach. Pewnego dnia, podczas pracy, zastali go Ukraińcy i dali mu 48 godzin na opuszczenie domu. Wyjechał natychmiast wraz z synem Adamem, a celem ich podróży był Gryfów Śląski na Dolnym Śląsku. W drodze na Ziemię Odzyskaną doszło do niespodziewanego zwrotu akcji. Po przekroczeniu nowej granicy młody Adam zaczął się do wojska. „We Wło-

dawie, gdy tylko zobaczył polskich żołnierzy, na kolanach prosił i całował ich po rękach, żeby go zabrali ze sobą. I został. Miał zaledwie 18 lat, gdy mianowano go porucznikiem - walczył wtedy z oddziałami UPA w Bieszczadach. Później stale się dokształcał, studiował i dosłużył się rangi pułkownika. Był szefem sztabu w Bogatyni, Zgorzelcu i Lubaniu, służąc w Wojskach Obrony Pogranicza. Dziś spoczywa na cmentarzu w Zgorzelcu” - relacjonuje pani Danuta. Kazimierz ostatecznie dotarł do Gryfowa Śląskiego sam.

Do Gryfowa miała dołączyć reszta rodziny: babcia Hania i dziadek Zajackowscy, ich drugi syn oraz Genowefa z dziećmi. Matka Danuty wahała się jednak, co robić. Wysłała list do męża na Sybir z pytaniem, czy ma czekać na niego w Samborze, czy wyjechać z resztą bliskich do Polski. Ojciec odpisał, że co prawda został uniewinniony, ale jego stan zdrowia nie pozwala mu nawet wstać z łóżka. Nakazał żonie, by jechała tam, gdzie jest jej miejsce - na tzw. Ziemię Odzyskaną.

Danuta miała zaledwie rok, gdy jej matka zameldowała się z rodziną w Gryfowie Śląskim. Utrzymanie rodziny opierało się na pracy w gospodarstwie, bez którego dziadkowie po pro-



Danuta w gospodarstwie rodzinnym w Gryfowie Śląskim

stu nie wyobrażali sobie życia. Gospodarzem został brat Genowefy. Pomagał siostrze oraz starzejącym się rodzicom. Przez pierwsze dwa lata Genowefa z dziećmi mieszkała pod jednym dachem ze swoim bratem. Wreszcie jeden z sąsiadów zwrócił jej uwagę, że wciąż przydzielane są domy nowo przybyłym rodzinom ze Wschodu. Przekonywał ją, że nie może całe życie mieszkać u brata, bo w końcu zaczną sobie nawzajem przeszkadzać - mimo bliskich relacji tworzą przecież dwie osobne rodziny. Dzięki tej radzie udało się znaleźć osobny dom. Wyboru dokonał wujek, kierując się pragmatyzmem - o decyzji zaważył fakt, że przyległe pola były już obsiane i rosły na nich plony.

Niedługo po osiedleniu się na Ziemiach Odzyskanych odeszli dziadkowie. Dziadek zmarł, gdy Danuta miała zaledwie pięć lat, a babcia Hania cztery lata później. Genowefa została więc zupełnie sama z dwójką małych dzieci, zmuszona do codziennej walki z powojenną biedą i trudami samotnego macierzyństwa. Mimo tych ciężkich warunków dom Genowefy wyraźnie wyróżniał się na tle innych. Była to zasługa - jakby to nazwać - kapitału kulturowego, jaki rodzina wyniosła jeszcze z Kresów. Wpływ przedwojen-

nego dworu, w którym niegdyś pracowała babcia Hania, był widoczny w codziennym życiu rodziny - w nawykach, higienie, sposobie wypowiedzania się, a nawet w przygotowywaniu posiłków. „Babcia Hania na tym dworze widziała, jak się gotuje i jak się żyje. Nie mówię, że prowadziła taki sam styl życia, bo na to nie było finansów, ale zdobyła wiedzę i potrafiła ją wykorzystać. Przekazała ją mojej mamie. Nikomu nie chcę uwłaczać, bo powojenne czasy były naprawdę biedne i różnie u ludzi bywało, ale u nas nigdy nie jadło się na przykład ze wspólnej miski. Ten dom po prostu się różnił” - podsumowuje Danuta.

Gospodarstwo Genowefy było urokliwym miejscem, choć sam dom wymagał remontu, na który nie było jej stać. Utrzymanie rodziny opierało się więc w całości na tym, co dawała ziemia. Przed wojną musiał tam mieszkać wyjątkowo gospodarny Niemiec. W ogrodzie rosły różnego rodzaju drzewa i krzewy owocowe: czerwone i czarne porzeczki, agrest oraz maliny, a cała posesja była ogrodzona dziką różą, której owoce Genowefa również zbierała. Dookoła rozciągały się lasy. Bardzo się starała, by jak najwięcej wyhodować własnymi rękami - od ziemniaków, buraków, pomido-

rów i ogórków po wszelkie możliwe warzywa.

Pani Danuta do dziś podziwia swoją matkę za zaradność, której nauczyła się ona bez wątpienia jeszcze od babci Hani. „Mama potrafiła to wszystko zagospodarować i przetworzyć. Nie było wtedy lodówek, ale miałyśmy specjalną komórkę, w której zimą przechowywałyśmy zapasy. Pamiętam, jak mama ciągle robiła soki malinowe - wlewało się je do butelek, korkowało i zaklejało gorącym lakiem. Zbierałyśmy też grzyby - latem jadłyśmy je na świeżo, a część suszyłyśmy na zimę. Owoce, które dojrzały latem, mama rozkładała na strychu, dzięki czemu jeszcze zimą jedliśmy świeże jabłka czy śliwki, a resztę się suszyło. To wymagało ciężkiej pracy, ale chociaż było biednie, nigdy nie byliśmy głodni” - relacjonuje.

Mimo natłoku obowiązków Genowefa nigdy nie zaniedbała domu ani dzieci. „Nigdy nie pamiętam, żeby mama nie ugotowała nam obiadu. Bardzo tego pilnowała. Mieliliśmy własny nabiał, mleko, masło, jajka i drobiowe mięso - choć kura służyła przede wszystkim do znoszenia jajek i do garnka trafiała rzadko. Część masła, jajek czy mleka mama musiała jednak sprzedawać, bo



Gryfów Śląski po II wojnie światowej



Danuta z mamą Genowefą



Danuta z mamą i wujkiem



Ojciec Danuty, Leon

potrzebowała pieniędzy, żeby nas ubrać czy dokupić to, czego nie dało się wyhodować. Żyliśmy biednie, ale naprawdę szczęśliwie” - dodaje.

Dla przesiedleńców ze Wschodu zamieszkanie w poniemieckich domach było ogromnym awansem cywilizacyjnym, z czego młoda Danuta zdała sobie sprawę dopiero po latach. Starsze pokolenie długo nie potrafiło jednak docenić nowych warunków. „Od babci i starszych ludzi ciągle słyszałam, że to wszystko jest tylko na chwilę, że zaraz wrócimy do siebie. Ciągłe idealizowali swój dawny dom na Wschodzie - opowiadali o ogromnych warzywach i owocach, co nie do końca pokrywało się z prawdą. Owszem, ziemię były tam urodzajne, ale pod względem stopy życiowej między tym, co zostawili, a tym, co zostali na Ziemiach Odzyskanych, była prawdziwa przepaść. Przecież w Galicji panowała najgorsza bieda” - wyjaśnia. Osoby, które przybyły na te tereny jako pierwsi osadnicy, często zajmowały domy w pełni wyposażone. Niemcy zabierali ze sobą tylko to, co mieściło się w walizkach, pozostawiając umeblowane wnętrza, instalacje wodociągowe i standardy, z jakimi repatrianci z kresowych wsi nigdy wcześniej się nie zetknęli.

„Pamiętam będę i to, jak bardzo było nam ciężko. Ojca nie było, a mama została sama, nie mając żadnego zawodu. Zawsze dziwiło mnie, że babcia wykształciła syna, a dziewcząt w tamtych cza-

sach nikt nie posyłał do szkół, by zdobyły zawód. Mojej mamie byłoby łatwiej, gdyby chociaż nauczyła się krawiectwa - miałyby z czego utrzymać rodzinę” - wspomina Danuta, dodając, że matka była dla niej prawdziwą bohaterką.

W powojennej rzeczywistości Danucie brakowało ojca. Z biegiem lat do Gryfowa docierała technologia - w domach instalowano głośniki, tzw. „kukuruzniki”, które od wczesnego rana do północy nadawały

program radiowy. Oprócz bieżących wiadomości przez radio podawano także komunikaty o poszukiwaniu zaginionych bliskich, gdyż po wojnie ludzie na masową skalę próbowali się odnaleźć. Gdy zmęczona po ciężkiej pracy Genowefa wracała do domu, mała Danuta wymyślała i mówiła matce, że w radiu wspomniano, iż Leon Mielniczyn szuka swojej żony i dzieci. W dziecięcej wyobraźni dziewczynki zakorzeniło się silne przekonanie, że gdyby ojciec

był z nimi, całe ich życie byłoby o wiele łatwiejsze. Leon miał zaledwie 25 lat, kiedy został wywieziony na Sybir - był młodym mężczyzną, który dopiero co założył rodzinę. Danuta знаła go wyłącznie z opowieści bliskich, którzy przedstawiali go dziecku w samych superlatywach. Szczególną rolę odegrał tu jej kuzyn Adam, wspomniany wcześniej pułkownik, który był niewiele młodszy od Leona i dobrze go znał. Zawsze powtarzał Danucie, by pamiętała, że

jej ojciec był najlepszym człowiekiem na świecie. Tęsknota za ojcem i dorastanie bez niego wywarły głęboki wpływ na późniejsze życie Danuty.

Danuta ukończyła w Gryfowie Śląskim szkołę podstawową i technikum włókiennicze. Tuż po maturze odnalazła ją i Genowefę wujek, brat ojca Danuty, który mieszkał w Raciborzu. Prowadził tam restaurację w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się kasyno przy ulicy Londzina. Postanowił ściągnąć je

do Raciborza. Przyjechały na stałe w 1964 roku. „Tu zaczęło się moje życie” - wspomina pani Danuta i dodaje: „Chciałam wyjechać do miasta, ale Śląsk bardzo różnił się od innych regionów Polski. Nie mówię tu o ludziach czy o wartościach, ale chociażby o samej gwarze śląskiej. Dla mnie, dziewczyny świeżo po maturze, było to wtedy po prostu rażące”.

Genowefa sprzedawała dom w Gryfowie, a otrzymane pieniądze wpłaciła na mieszkanie. W Raciborzu zamieszkały przy ulicy Ludwika. Danuta zdobyła pracę w księgowni w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni (PZGS) przy ulicy Kolejowej. Wspomina z uśmiechem swoje doświadczenia zawodowe: „Dostałam polecenie, aby w trzyosobowym zespole przeprowadzić inwentaryzację w magazynie narzędziowym. Mężczyźni, którzy ze mną poszli, byli niewiele ode mnie starsi. Robili ze mnie kompletnego wariata, bo nazwy wszystkich narzędzi dyktowali po śląsku - jakieś różne wihajstry i tym podobne. Ja w ogóle nie rozumiałam, co oni mówią. Zapisywałam tylko liczby, kiedy podawali, ile jest sztuk, bo śląskiego wtedy jeszcze zupełnie nie znałam. Na początku trudno mi było się w tym wszystkim połapać”.

W czasie pracy w PZGS Danuta marzyła o studiach ekonomicznych w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach (filii w Rybniku), jednak, aby podejść do egzaminów wstępnych, potrzebowała ocen z geografii, której nie miała w tech-



Pani Danuta w raciborskiej Drukarni

nikum. Aby uzupełnić braki, zapisała się do liceum wieczorowego. Okazało się jednak, że w czwartej klasie liceum geografii już nie było, ponieważ program kończył się rok wcześniej. Postanowiła więc opanować cały materiał samodzielnie i zdać geografii jako dodatkowy przedmiot na maturze. Nauka w „wieczorówce” pozwoliła jej także poznać lokalne środowisko i nawiązać nowe przyjaźnie. Determinacja przyniosła efekt - zdobyła wymarzony indeks. Zmieniła miejsce pracy i rozpoczęła pracę w drukarni przy ulicy Szaszcza. Wkrótce potem w jej życiu pojawił się ktoś, kto miał zmienić wszystko - poznała swojego przyszłego męża, Jurka Szulika z Rybnika. Poznali się na dancingu w Oborze, na który dała się namówić koleżankom z działu ekonomicznego w drukarni.

Mąż Danuty prowadził własny zakład. Pochodził ze śląskiej, niemieckiej rodziny z Niewiadomia pod Rybnikiem. Przed wojną rodzina ta posiadała własną piekarnię i masarnię w Rybniku, które utraciła po wojnie. Teściowa Danuty była córką powstańca śląskiego, a teść rodowitym Niemcem, który w trakcie wojny służył w Kriegsmarine w Norwegii. Po powrocie do Rybnika po wojnie, ze względu na niemieckie pochodzenie, nie mógł znaleźć stałego zatrudnienia i dorabiał jako prywatny rzeźnik. Teściowa znalazła sposób na utrzymanie rodziny - w dużym domu rodzinnym w Niewiadomiu otworzyła prywatny hotel robotniczy dla pracowników przyjeżdżających z Polski (tzw. werbusów). Danuta bardzo dobrze dogadywała się z teściami.

Po ślubie Danuta i jej mąż mieszkali początkowo przy uli-

cy Ludwika, tuż obok Genowefy. Gdy jednak młode małżeństwo przeprowadziło się na osiedle przy ulicy Żwirowej, Danuta nie chciała zostawiać matki z dala od siebie. Doskonale rozumiała, jak ważne jest dla niej posiadanie własnego lokum, dlatego postanowiła poszukać rozwiązania na własną rękę. Szukała kogoś chętnego do zamiany mieszkań. W ten sposób trafiła na młodego mężczyznę, który zajmował kawalerkę na osiedlu niedaleko ulicy Żwirowej. Dla niego propozycja była idealna, ponieważ wolał przenieść się bliżej centrum, na ulicę Ludwika. Dzięki tej zamianie Genowefa ponownie zamieszkała tuż obok córki, mając ją dosłownie naprzeciwko.

W Raciborzu rodzina Szulików prowadziła dobre, spokojne życie rodzinne i zawodowe. Także mama Danuty wreszcie odnalazła tu spokój i poczuła się naprawdę u siebie - był to dla niej moment, w którym po latach ciężkich powojennych zmagani i samotnego wychowywania dzieci wreszcie mogła zacząć po prostu żyć. Przy wsparciu córki i zięcia jej codzienne życie nabrało komfortu, na który zasługiwała jak mało kto. Danuta podkreśla, że komuna to nie był łatwy ani ciekawy czas, ale przypadał na lata ich młodości. Wtedy brak towarów czy kwestia jedzenia nie były najważniejsze - ludzie chcieli być zakochani, bawić się i po prostu cieszyć życiem. Dlatego tamte lata wspomina jako piękne.

Życie w Raciborzu miało duży wpływ na panią Danutę, która z uznaniem przejmowała lokalne zwyczaje. Do dziś ceni Ślązaków za ich niezwykłą obowiązkowość, zamilowanie do porządku i konkretne podej-



Pani Danuta (w środku) z grupą znajomych w Raciborzu

ście do życia - cechy, które silnie zakorzeniły się w tutejszej kulturze. Sama nigdy nie wstydziła się pytać ani uczyć od innych, jeśli tylko coś wydało jej się wartościowe. Ta otwartość przełożyła się także na domowe tradycje. Z czasem świąteczny stół w ich domu stał się wyjątkową, śląsko-polską mieszanką. Gdy w ich domu pojawiła się moczka, szybko podbiła serca wszystkich domowników. Z czasem całkowicie wyparła kresową kutię. Obok wschodniego barszczu z uszkami i tradycyjnych pierogów na świątecznym stole pojawiły się śląskie makówki oraz zupa rybna. To ku-

linarne połączenie dwóch światów było najlepszym dowodem na to, jak świetnie obie rodziny - polska i śląska - potrafiły się porozumieć, czerpiąc z tego, co najlepsze.

Dziś Danuta jest spełnioną, szczęśliwą mamą i babcią. Jej dzieci - córka i syn - poukładały sobie życie blisko niej, w Raciborzu, a ona sama aktywnie włącza się w społeczne życie miasta, będąc członkinią Śląskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Raciborzu. Zasiadała w pierwszej Radzie Seniorów Miasta Racibórz. Pokochała to miasto. Zachwycają ją odnowione bulwary nad Odrą i Zamek

Piastowski, gdzie lubi przesiedywać na dziedzińcu. Z uśmiechem przyznaje, że stała się już Ślązacką przez zasiedzenie. Choć sama nie mówi gwara, bo uważa, że nie brzmi to z jej ust naturalnie, bez problemu ją rozumie.

Lata spędzone na Śląsku i poznawanie losów tutejszych mieszkańców przyniosły jej jednak coś znacznie ważniejszego - zrozumienie i szacunek dla trudnej historii tej ziemi. Pani Danuta mocno wierzy w potrzebę prawdziwego dialogu śląsko-polskiego. Wie, że po obu stronach kryją się niełatwe losy: przesiedleńcy ze Wschodu

nie przybyli tu z własnej woli, zostawiając cały swój dorobek i jadąc z jedną walizką w nieznaną, ale i dawni mieszkańcy Śląska przeszli przez ogromne cierpienie. Jej zdaniem kluczem do wspólnego zrozumienia jest poznanie prawdy o tym, co przeżyły obie grupy.

Dr Magdalena Wawoczny-Wilczek

Wywiady:

- Danuta Szulik, Racibórz, 26.10.2026 r.
- Fotografie ze zbiorów prywatnych Danuty Szulik



Jubilatka w Oborze, miejsce szczególne dla mieszkańców Raciborza lat 60. i 70. To tu odbywały się dancingi i zabawy, które dla wielu par były początkiem wspólnej drogi życiowej



W sali kolumnowej Urzędu Miasta w Raciborzu 4 marca 2015 r. 12 członków Rady Seniorów złożyło uroczyste ślubowanie. Danuta Szulik została wybrana wiceprzewodniczącą tego gremium

„Repolonizacja” i „zwalczanie przejawów niemieckości” w powiecie raciborskim w latach 1947–1949



Dr Janusz Mokrosz

W sprawozdaniu sytuacyjnym ze stycznia 1946 r. starosta powiatu raciborskiego informował Urząd Wojewódzki w Katowicach o nasilającej się tendencji do posługiwania się językiem niemieckim. Przejawiała się ona m.in. w tym, że mieszkańcy powiatu, często uznani w toku weryfikacji narodowościowej za Polaków i znający język polski, nadal porozumiewali się po niemiecku w miejscach publicznych. Podobne obserwacje starosta zawarł w sprawozdaniu z maja 1947 r., wskazując, że językiem niemieckim demonstracyjnie posługiwali się zarówno starsi, jak i młodszy mieszkańcy powiatu.

Utrzymywanie się powszechnego użycia języka niemieckiego w powiecie raciborskim należy wiązać zarówno ze sposobem przeprowadzania weryfikacji narodowościowej, jak i z jej rezultatami. Istotne znaczenie miał wysoki odsetek mieszkańców uznanych za Polaków, wynoszący 97,6%. Nie bez znaczenia był również fakt, że do 1945 r. język niemiecki pełnił na terenie powiatu funkcję języka urzędowego, a zarazem był dobrze znany miejscowej ludności i powszechnie wykorzystywany w życiu codziennym. Utrzymywanie się jego użycia nie stanowiło zresztą zjawiska odosobnionego. Posługiwali się nim również pozytywnie zweryfikowani mieszkańcy Gliwic i Bytomia, a przypadki używania języka niemieckiego odnotowywano w niemal wszystkich miejscowościach Górnego Śląska. Był on obecny zarówno w przestrzeni publicznej, jak i w życiu prywatnym – w centrach miast, mieszkaniach, domach jednorodzinnych oraz gospodarstwach rolnych. Powszechność tego zjawiska skłoniła władze wojewódzkie do podjęcia kolejnych kroków

zmierzających do administracyjnego ograniczenia, a ostatecznie wyeliminowania użycia języka niemieckiego. Działania te wpisywały się w szerszą politykę usuwania z przestrzeni publicznej także innych pozostałości niemieckiego dziedzictwa kulturowego.

19 sierpnia 1947 r. wojewoda śląski Aleksander Zawadzki skierował do starostów powiatowych i prezydentów miast zarządzenie określające zasady i tryb zwalczania przejawów „niemczyzny”. Zobowiązał w nim administrację powiatową, miejską i gminną do bezwzględnego przeciwdziałania wszelkim przejawom niemieckości, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym. Szczególny nacisk położył na konieczność natychmiastowej reakcji urzędników na używanie języka niemieckiego przez interesantów oraz inne przejawy niemieckości wśród obywateli polskich, którzy przeszli już weryfikację narodowościową. Osoby posługujące się językiem niemieckim w urzędach należało legitymować, a następnie kierować do referatu społeczno-politycznego w celu sprawdzenia ich obywatelstwa. Z kolei mieszkańców używających tego języka w przestrzeni publicznej, po wylegitymowaniu, nakazywano odprowadzać do najbliższego posterunku Milicji Obywatelskiej.

Uzupełnieniem zarządzenia było pismo okólne z tego samego dnia, skierowane do organizacji społecznych i politycznych działających na terenie województwa. Zawierało ono wezwanie do zmobilizowania ich aktywności i włączenia go w działania wymierzone we wszelkie przejawy „niemczyzny”, ze szczególnym uwzględnieniem używania języka niemieckiego. Kilka dni później Zawadzki zwrócił się również do administratora apostolskiego Śląska Opolskiego ks. Bolesława Kominka, postulując włączenie władz kościelnych w realizację akcji „repolonizacyjnej”. Wśród proponowanych form pomocy wymieniał zobowiązanie duchowieństwa do niedopuszczania do nadawania dzieciom imion uznawanych za niemieckie.

Jesienią 1947 r. działania, określane przez władze jako „zwalczanie niemczyzny” lub „walka z nawrotem niemczy-

zny” objęły całe województwo śląskie. Rozpoczęto organizowanie wieców, podczas których prelegenci przekonywali mieszkańców o konieczności wyeliminowania języka niemieckiego z codziennego użytku, usunięcia niemieckich napisów oraz polonizacji imion i nazwisk. Za przygotowanie tych spotkań odpowiadały zazwyczaj dwie współpracujące ze sobą organizacje społeczne: Polski Związek Zachodni (PZZ) i Związek Weteranów Powstań Śląskich (ZWPSŁ).

Podczas zebrania w październiku 1947 r. delegaci raciborskich oddziałów PZZ i ZWPSŁ przyjęli „rezolucję w sprawie zwalczania niemczyzny we wszystkich przejawach życia publicznego i prywatnego”. W listopadzie 1947 r. organizacje te zainicjowały cykl wieców w Raciborzu i innych miejscowościach powiatu. Spotkania odbywały się regularnie aż do lipca 1948 r. Ich nieodłącznym elementem były przemówienia, których celem było skłonienie mieszkańców do „zwalczania niemczyzny i usuwania jej śladów”. Występowali podczas nich przedstawiciele partii politycznych i organizacji społecznych, a także reprezentanci najwyższych władz wojewódzkich. W lutym 1948 r. na jednym z wieców w Raciborzu przemawiał wicewojewoda Ark Bożek.

Uzupełnieniem działań propagandowych był system sankcji, którego celem było wymuszenie podporządkowania się wytycznym władz. Przedstawiciele administracji lokalnej zobowiązano do stosowania różnorodnych środków represyjnych. Obejmowały one nagannę z ostrzeżeniem, zwolnienie z pracy, pozbawienie koncesji gospodarczej, grzywnę w wysokości do 30 tys. zł, a także skierowanie do obozu pracy w Gliwicach. Podstawę prawną stosowania tych sankcji miał stanowić art. 18 przedwojennego prawa o wykroczeniach, przewidujący kary dla osób, które w „miejscu publicznym demonstracyjnie okazują niechęć lub lekceważenie dla państwa polskiego lub innych instytucji państwowych”.

W działaniach podejmowanych w ramach „walki z niemczyzną” lokalną administrację wspierały również tzw. obywa-

telskie komisje kontroli (OKK), powołane na terenie powiatu raciborskiego na mocy zarządzenia wojewody z 10 października 1947 r. Do ich głównych zadań należało sprawdzanie, czy niemieckie napisy zostały usunięte z miejsc publicznych, takich jak cmentarze, kapliczki, sklepy i restauracje, a także z obiektów prywatnych.

Szczególnie trudnym i budzącym emocje obszarem działalności komisji okazały się cmentarze. Usuwanie niemieckojęzycznych inskrypcji z nagrobków i innych elementów wyposażenia nekropolii spotykało się ze sprzeciwem zarówno administracji kościelnej, jak i części miejscowej ludności. W podraciborskich miejscowościach Bolesław i Owsiszce proboszczowie sprzeciwiali się usuwaniu napisów, uzasadniając swoje stanowisko nieustalonym jeszcze przebiegiem granicy państwowej. Realizację wytycznych władz w tym zakresie utrudniała również niechęć mieszkańców do podporządkowania się zarządzeniom administracyjnym.

Najwolniej prace związane z usuwaniem śladów niemieckości z cmentarzy przebiegały w Raciborzu, gdzie ich intensyfikacja nastąpiła dopiero w drugiej połowie 1948 r. Ze sprawozdania sytuacyjnego starostwa z 30 sierpnia 1948 r. wynika, że do tego czasu zaawansowanie prac na raciborskich nekropoliach nie przekraczało 10%. Dla porównania, w pozostałych miejscowościach powiatu akcję uznawano za niemal zakończoną, a stopień realizacji wytycznych szacowano na 95%. Do końca 1948 r. prace objęły również cmentarze w Raciborzu, gdzie usunięto pozostałe elementy uznawane przez władze za przejawy niemieckości.

„Zwalczanie niemczyzny” nie ograniczała się jednak tylko do usuwania niemieckich napisów z przestrzeni publicznej. Kontrolą objęto również niemieckojęzyczne piśmiennictwo. W maju 1948 r., w ramach struktur powołanych do prowadzenia „walki z niemczyzną”, utworzono na szczeblu powiatowym komisję do klasyfikacji książek niemieckojęzycznych. Do końca roku komisja uznała 500 pozycji za literaturę naukową i nakazała przekazanie ich do archiwum starostwa.

Jesienią 1947 r. władze powiatu raciborskiego zintensyfikowały działania zmierzające do polonizacji niemieckich imion i nazwisk. W październiku, realizując zarządzenie wojewody, starosta raciborski polecił rozwiesić w Raciborzu i pozostałych miejscowościach powiatu obwieszczenia wzywające mieszkańców do „spolszczenia” imion i nazwisk. Działania te miały być wspierane przez spotkania z rodzicami dzieci noszącymi imiona i nazwiska uznawane przez władze za niemieckie, organizowane przez powiatowy referat społeczno-polityczny. Podczas zebrania urzędnicy nakładali rodzicom do dokonania zmian, a do ich przeprowadzenia mieli zachęcać również nauczyciele i księża.

Wdrażanie tych zaleceń napotykało jednak trudności, zwłaszcza w samym Raciborzu. Istotną przeszkodą był brak akt Urzędu Stanu Cywilnego, niezbędnych do przeprowadzenia zmian. Choć odpisy dokumentów można było uzyskać w miejscowym sądzie grodzkim, wiązało się to z koniecznością uiszczenia opłat skarbowych. Dodatkowe koszty stanowiły dla mieszkańców utrudnienie i przyczyniały się do opóźnień

w realizacji wytycznych władz.

Raporty administracyjne z 1949 r. pozwalają szerzej ocenić rezultaty prowadzonej w powiecie raciborskim „walki z niemczyzną”. Wynika z nich, że działania władz przyniosły widoczne zmiany w przestrzeni publicznej, nie doprowadziły jednak do wyeliminowania wszystkich przejawów niemieckości z życia mieszkańców. Usuwaniu materialnych śladów niemieckiego dziedzictwa kulturowego, między innymi poprzez ingerencję w wygląd cmentarzy, konfiskatę niemieckojęzycznych książek i zastępowanie niemieckich napisów polskimi, nie towarzyszyła również daleko idąca zmiana w sferze języka i tożsamości narodowej.

Sprawozdania sytuacyjne z 1949 r. odnotowywały, że część rdzennych mieszkańców powiatu nadal posługiwała się językiem niemieckim w życiu prywatnym i publicznym, przechowywała w domach niemieckojęzyczne książki oraz deklarowała przynależność do narodowości niemieckiej. W dokumentach odnotowano również, że część tych osób wyrażała chęć wyjazdu z Polski.

Dr Janusz Mokrosz



Ofiarą odniedzania padła pieta na cmentarzu przy ul. Głubczyckiej, z której skuwano niemieckie napisy